

DARIUSZ ANDRZEJ SIKORSKI  
*Instytut Historii  
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza  
w Poznaniu*

METODOLOG HISTORII O METODOLOGII HISTORII  
(TAK JAK JĄ ROZUMIE).  
(W ODPOWIEDZI WOJCIECHOWI WRZOSKOWI)

Wojciech Wrzosek postanowił włączyć się do mojej polemiki z Karoliną Polasik-Wrzosek, wyrażając „solidarność z autorką i jej repliką poprzez podjęcie tych wątków artykułu Sikorskiego, które bezpośrednio nie dotyczą jej pracy” (s. 379)<sup>1</sup>. Pomija jednak fakt, który tę solidarność czyni interesowną — był promotorem pracy doktorskiej, która jest podstawą recenzowanej książki. Mamy więc do czynienia ze znacznie mniej bezstronnym — niż stara się przedstawić to Autor — głosem zatroskanego naukowca. Biorąc tę okoliczność pod uwagę, rozumiem, że mój tekst mógł wywołać silne emocje u Autora, nie rozumiem jednak tego, że musiały one znaleźć upust w czasopiśmie naukowym. Jednak wdzięczny jestem Redakcji „Kwartalnika Historycznego” (i dwóm recenzentom), że podjęła ryzykowną decyzję o opublikowaniu artykułu. Nic tak nie obnaża intencji, sposobu myślenia oraz celów autora jakiegokolwiek artykułu, jak sam tekst, a to zdecydowanie ułatwia mi polemikę z Autorem.

Z pewnością opublikowana polemika nie zachęci do dyskusji nie tylko innych historyków z metodologami historii, ale również badaczy — zwłaszcza młodszych — zainteresowanych metodologią historii, gdyż W. Wrzosek jasno określił własne warunki, na jakich taka dyskusja może być możliwa, a przede wszystkim ujawnił część z arsenału środków, także tych niemerytorycznych, jakimi tych warunków będzie bronił. W tym przede wszystkim

---

<sup>1</sup> W. Wrzosek, *Dogmatyczny „metodysta” przeciwko metodologii historii*, KH 121, 2014, 2, s. 379–405. Jeśli nie zaznaczono inaczej, podane w tekście numery stron w zakresie 379–405 dotyczą cytowanego wyżej tekstu W. Wrzoska, a w przedziale 485–510 mojego artykułu recenzyjnego (D. A. Sikorski, *Jak historyk potyka się o antropologię historyczną*, KH 118, 2011, 3, s. 485–510).

widzę największe negatywne skutki wystąpienia W. Wrzoska, ale owych granic respektować nie zamierzam.

Tekst Autora jest przykładem wszechstronnego wykorzystania szerokiego arsenału chwytów erystycznych. Autor zapomina, że w polemice uciekamy się do erystyki w ostateczności, kiedy nie mamy racjonalnych argumentów wspierających nasz pogląd, a zależy nam już nie na merytorycznej istocie sporu, ale wyłącznie na sprawieniu wrażenia, że mamy rację. Konieczność zbudowania większości argumentacji za pomocą chwytów erystycznych zawsze ujawnia merytoryczną bezsilność oraz złe intencje dyskutanta. Zatem nie będę polemizował w sprawach nie dotyczących meritum sporu zainicjowanego moją krytyką książki K. Polasik-Wrzosek ani dotyczących mnie osobiście. Nie będę również po raz drugi odpowiadał na te same zarzuty, które już padły w tekście K. Polasik-Wrzosek, gdyż wbrew deklaracji większość jego tekstu ma charakter drugiej „odpowiedzi na recenzję”. W wyżej drukowanej polemice z K. Polasik-Wrzosek większość tych kwestii wystarczająco wyjaśniam. Pozostaje zatem odnieść się do pozostałej, niewielkiej części tekstu, w którym W. Wrzosek porusza pewne problemy wymagające skomentowania.

W. Wrzosek ulepił na własny użytek kukłę ze swoich wyobrażeń o moich poglądach, którą w tekście nazywa „Sikorski”, i dźga ją różnymi epitetami, których uzasadnieniem mają być moje poglądy – w rzeczywistości po prostu mi przypisane. Metoda ta znacznie ułatwia Autorowi dyskusję, gdyż ustawia mnie za każdym razem w takiej pozycji, w jakiej Autorowi wygodniej ze mną dyskutować. Polemizowanie z poglądami imputowanymi jest zawsze łatwiejsze niż z rzeczywistymi.

Wyłącznie na potrzeby scharakteryzowania mojej postawy filozoficznej i metodologicznej ukuł Autor dwa nowe pojęcia: dogmatyczny „metodysta” oraz dogmatyczny i demagogiczny empiryzm (s. 391), mam być też zwolennikiem „realizmu naturalnego”, czyli realizmu naiwnego (Autor przypisuje tę postawę większości historyków, więc to mniej „boli”). W innym miejscu Autor zapisał mnie do zwolenników „empiriokrytycznej/leninowskiej teorii odbicia” (s. 384)<sup>2</sup>, ale nie będąc do końca zdecydowany, na wszelki wypadek dookreślił mnie mianem „historyka nożyc i kleju” w rozumieniu Robina G. Collingwooda, dodając jeszcze: „historyk spisujący źródło

---

<sup>2</sup> Zwłaszcza nie mogę być wyznawcą „empiriokrytycznej/leninowskiej teorii odbicia” (s. 384), gdyż empiriokrytycyzm takowej nie wypracował (Gestalt-Theorie nie ma związku z teorią odbicia), a koncepcja leninowska wyrosła z krytyki empiriokrytycyzmu Ernsta Macha. Prawdopodobnie Autor zapamiętał tytuł dzieła Lenina *Materiaлизм i empiriokrytycyзм*, który skłonił go do takiej asocjacji, ale nie pamięta (albo nigdy nie wiedział), o co w tym tekście chodziło.

i chadzający tropem wyrażonych w nim «faktów»” (s. 384). W. Wrzosek do- biera przypisywane mi orientacje nie na podstawie analizy moich poglą- dów, ale wedle ich jak najgorszej – według jego kryteriów – konotacji fi- lozoficzno-metodologicznej, gubiąc przy tym ich sens. Wszystkich naraz nie mogę reprezentować, gdyż niektóre się wykluczają. Nie mogę być zwłaszcza „dogmatycznym empirystą”, ponieważ empiryzm ma wiele twa- rzy i nie tworzy jednolitej doktryny<sup>3</sup>. Poza tym, czy rzeczywiście przypisy- wane mi orientacje są czytelne w krótkim tekście polemicznym lub dadzą się z niego wydedukować? Nie wiem, jakie zdania z mojej polemiki skłoniły go do takich sądów, ale wiem skąd rzeczywiście mógłby się – przynaj- mniej w części – dowiedzieć, jakie zajmuję stanowisko metodologiczne, mianowicie analizując moje prace historyczne (cztery książki, kilkadziesiąt artykułów), do czego szczerze zachęcam. Wystarczy wówczas pokazać, w którym miejscu jestem np. „historykiem nożyc i kleju”, a w innych re- prezentuję pozostałe opcje. Może W. Wrzosek doszedłby do wniosku, że je- stem jednak umiarkowanym apriorystą? Wbrew twierdzeniu Wrzoska nie jestem „gołosłownym piewcą metody krytycznej” (s. 384), gdyż jestem praktykującym historykiem. Nie opieram się jedynie na deklaracjach, ale zasady, które uznaję za ważne dla badań historycznych, są przeze mnie stosowane w konkretnych pracach. Dla metodologa historii dokonanie analizy podstaw filozoficznych autorów prac historycznych powinno być umiejętnością podstawową. W. Wrzosek poprzestaje na przyklepaniu mi wygodnych dla siebie etykiet.

Gdyby przyjął kryteria W. Wrzoska, które zastosował do mnie, to zde- cydowana większość historyków musiałaby zostać uznana, podobnie jak ja, za „radykałnych/naiwnych empirystów” (s. 385, 386). Byłoby to niezgodne z prawdą, gdyż historycy nie traktują źródeł jako niezależnych od siebie przedmiotów poznania i zdają sobie sprawę, że to, co jest traktowane jako źródło, jest w rzeczywistości wynikiem pewnej interakcji między history- kami a materialnymi pozostałościami z przeszłości. Na przykład tekst *Kro- niki* Galla najczęściej przytaczany za edycją Karola Maleczyńskiego, który traktowany jest jako źródłowy, nie występuje w takiej postaci w żadnym z zachowanych rękopisów, a to one są tymi właściwymi źródłami – nie edycja krytyczna<sup>4</sup>. Fakty, które są dla historyka podstawą „empiryczną”,

---

<sup>3</sup> Stwierdzenie Autora, że „zgodnie z doktryną empiryzmu: fałszywe dane prowa- dzą do fałszywych interpretacji na nich opartych” (s. 392), jest nieprawdziwe o tyle, że interpretacje mogą być co najwyżej błędne. Natomiast interpretacja oparta na fałszy- wych danych może być prawidłowa, jeśli przeprowadzona jest zgodnie z regułami. Oczywiście w tych warunkach jej wartość poznawcza jest żadna, chyba że przypadko- wo stanie się inaczej.

<sup>4</sup> Podobnie w archeologii, poza zabytkami wydzielonymi i masowymi, stanowisko

nie są czystymi danymi źródłowymi, są faktami historiograficznymi, tzn. takimi, które historycy uznali za rezultat swoich operacji przeprowadzanych na źródłach<sup>5</sup>. Historyk nie ma żadnego, w sensie empirycznym, kontaktu z faktami z przeszłości. Historyk ma tylko relacje o tych ostatnich, na podstawie których sobie konstruuje fakty historiograficzne, istniejące znowu tylko w głowach historyków. Więc jeśli mówimy o empirycznej podstawie dla naszych ujęć przedstawianych w pracach historyków, to nie jest to empiria w sensie przypisywanym radykalnym empirystom i termin ten powinien być ujęty w cudzysłów. Ponieważ tak się z powodów praktycznych nie robi, może to być rzeczywiście powodem pewnego zamieszania dla osób niezorientowanych w zagadnieniach metodologicznych, jednak dla osób zajmujących się wyłącznie refleksją metodologiczną w badaniach historycznych sprawa powinna być oczywista. Nie sądzę, aby Autor oskarżając mnie (i innych historyków) akurat o naiwny empiryzm, robił to złośliwie, przeinaczając moje poglądy. Rzeczywiście tak sądzi i to jest dopiero zdumiewające u metodologa historii.

Autor jednym zdaniem „usprawiedliwił się” z niepodejmowania polemiki w tych sprawach, w których podpieram wygłaszane poglądy i opinie literaturą przedmiotu: „Sikorski wspiera się konstatacjami i lekturami z branży metodologicznej, ale wagi tych, zaczerpniętych, skądinąd trywializowanych przez siebie opinii, nie jest w stanie ocenić” (s. 391). Bardzo to wygodne (dla Autora), ale czy pokazał choć jeden przykład mojego trywializowania? Powinno być to nadzwyczaj proste zadanie, a inni czytelnicy z pewnością się zgodzą, że najlepszym sposobem wykazania, iż autor nie rozumie cytowanej przez siebie literatury, jest zademonstrowanie tego. Niepotrzebne by były długie i głołosłowne tyrady Autora.

Zilustrować tę metodę można na przykładzie partii polemiki zatytułowanej „Nie było ani antropologii historycznej, nie było żadnych istotnych dla historiografii *turns*”. Już w samym tytule Autor imputuje mi absurdalny pogląd, jakoby nie zauważał żadnych zwrotów, jakie dokonały się w historiografii w ostatnich kilku dekadach. Jako dowód W. Wrzosek zamieścił cytat z mojej recenzji (s. 380), którego nie będę tu powtarzał<sup>6</sup>. Wokół niego Autor rozwija trzystronicową egzegezę, wynosząc z tego fragmentu, iż rzekomo oczekuję, że zwroty metodologiczne mają stwo-

---

archeologiczne jako całość, jako rzeczywista empiria zostaje zniszczone. Archeolodzy opierają swoje badania w części na tym, co odkrywcy zdołali uznać za wartościowe dla zadokumentowania. Sama dokumentacja jest już subiektywną relacją o archeologicznej empirii.

<sup>5</sup> Już z tego powodu nie mogę być zwolennikiem empiriokrytycyzmu.

<sup>6</sup> Autor ponownie do tego wraca na s. 390. Czytelnikowi doradzam lekturę całego akapitu, z którego pochodzi ów cytat (s. 486).

rzyć nowe źródłoznawstwo (s. 380), czego nie twierdzą, a to żądanie ma dowodzić, że fundamentalnie nie rozumiem statusu refleksji metodologicznej i teorii historii (s. 381)<sup>7</sup>. Zauważmy jednak, że Autor, kontestując moją opinię, nie wskazuje, aby któryś z wielu „zwrotów” rzeczywiście przełożył się na „zwrot” w źródłoznawstwie lub metodyce badań historycznych. Czy zdaniem Autora zasady krytyki źródeł zostały w jakiś sposób zmienione przez któryś ze „zwrotów”? Czy *linguistic turn* wprowadził jakieś zmiany do zasad krytyki źródeł? Obok wyrazów oburzenia moją uwagą wystarczyłoby podać choć jeden przykład. Przecież wiadomo, sądzę, także W. Wrzoscowi, iż zwroty w humanistyce nie wpływały na całą metodologię historii. Zatem te „nieruszone” przez kolejne zwroty jej elementy nadal są aktualne i powinny być akceptowane także przez zwolenników owych *turns*. Być może powodem oburzenia W. Wrzoska jest niezauważanie przez niego zasadniczej różnicy między krytyką źródła i jego interpretacją, gdyż owe zwroty najczęściej dotyczą interpretacji i tu ich wpływu nie da się pominąć, nawet jeśli większość wiodących idei owych *turns* tylko w części się przyjęła w historiografii<sup>8</sup>. Myślą wyrażoną w akapicie, z którego cytat pochodzi, jest wskazanie, że różne próby modyfikacji zasad badań historycznych nie przekładały się na zasady krytyki źródeł historycznych, zatem w tym zakresie — niezależnie od wyznawanych innych opcji w metodologii historii — ogólne zasady krytyki nadal obowiązują. Nawet pojawiające się nowe kategorie źródeł historycznych (np. te znane wyłącznie w postaci zapisu cyfrowego) podlegają tym samym zasadom. Historyk chcący zapożyczyć się np. w *linguistic turn* będzie jednak musiał zastosować się do tych zasad, o ile nie zaproponuje i nie uzasadni nowych. Odnosi się to też do antropologii historycznej. Tacy mediewiści ze szkoły „Annales”, jak Jacques Le Goff i Georges Duby, nie wprowadzili nowych zasad krytyki źródeł<sup>9</sup>. Ich prace są omawiane i recenzowane na poziomie ich umocowania źródłowego jak wszystkie inne. Dlaczegoż książka Emmanuela Le Roy Ladurie miała być traktowana inaczej? W. Wrzoscowi, podobnie jak wcześniej

<sup>7</sup> O tym, że Autor strzela na oślep, może świadczyć fakt, iż zarzuca mi, że nie mogę zrozumieć Kazimierza Ajdukiewicza, do którego — „tu i ówdzie odnoszę się z respektem”, ale „bez zrozumienia metafizycznego statusu [podkr. — D.A.S.] zarówno filozofii, jak i metodologii nauki” (s. 381). Ja zaś w ogóle nie cytuję Ajdukiewicza.

<sup>8</sup> Krótkie i przejrzyste wyjaśnienie, czym jest krytyka źródła, dał Jerzy Topolski (*Wprowadzenie do historii*, Poznań 2001, s. 43 nn.): „za krytykę źródła uznać można zdobywanie wiedzy o źródle tak, by stało się ono źródłem gotowych do wykorzystania informacji” i dalej (s. 48): „w ostatecznym rachunku chodzi o wyłuskanie z tekstu źródła informacji o indywidualnych faktach, czyli o «odsianie» z tekstu źródła interpretacji i retoryki”.

<sup>9</sup> Por. wydaną w serii „Cahiers des Annales” książkę L.-E. Halkin, *Initiation à la critique historique*, Paris 1963, zwł. s. 17–32.

K. Polasik-Wrzosek, pozostaje głoszenie opinii, że Le Roy Ladurie „w sposób kreatywny i niekonwencjonalny wykorzystał konwencjonalne źródło” (s. 381). Niestety oboje Autorzy wzbraniają się wykazać, na czym to domniemane nowe podejście do źródeł miało polegać.

Zarzuty wobec autorów obu analizowanych przez K. Polasik-Wrzosek książek dotyczą tego, że opierają oni swoje interpretacje na danych, których w wykorzystywanych przez nich źródłach nie ma. Reinhart Koselleck, którego teksty od czasu ukazywania się ich polskich tłumaczeń Autor dla siebie odkrył, ujął kiedyś rolę źródła następująco:

Ścisłe rzecz ujmując, źródło nigdy nie będzie w stanie powiedzieć nam tego, co powinniśmy powiedzieć. Przeszkodzi nam jednak w formułowaniu wypowiedzi, których formułować nie powinniśmy. Źródła mają prawo *veto* [podkr. — D. A. S.]. Zakazują nam ważyć się na interpretacje lub dopuszczać do interpretacji, które na podstawie źródła mogą być ocenione jako po prostu fałszywe lub niedopuszczalne. Błędne dane, błędne szeregi liczb, błędne wyjaśnienie motywów, błędne analizy świadomościowe: to wszystko i jeszcze więcej zdemaskować można za pomocą krytyki źródeł. Źródła chronią nas przed błędami, nie mówią nam jednak, co powinniśmy powiedzieć<sup>10</sup>.

W innym miejscu wskazywałem, że poglądy W. Wrzoska w kwestii źródeł są nie do zaakceptowania, w świetle tego, co rzeczywiście o źródłach myślą historycy i jak z nich korzystają<sup>11</sup>. W tym tekście, a zwłaszcza w części zatytułowanej „Z perspektywy naiwnego empiryzmu” (s. 383–386) owe problemy Autora dotyczące tego, co historyk robi ze źródłami, ponownie się ujawniają. Referując stan dyskusji w historiografii światowej nad sposobem traktowania źródła (protokołów przesłuchań Menocchia) przez Carla Ginzburga, podsumowałem, że owe uwagi nie oznaczają, iż „w całości badania tego rodzaju są skazane na niepowodzenie, ale że należy je przeprowadzać metodycznie” (s. 507). Autor dokonuje kolejnej egzegezy mego tekstu. Po wyliczeniu na podstawie komentarza do edycji krytycznej, o jakich trudnościach interpretacyjnych tego źródła jest mowa, stwierdza — ku memu obecnemu zdziwieniu — że „tego typu trudności dałoby się przezwyciężyć, sugeruje Sikorski, gdyby Ginzburg prowadził badania metodycznie” (s. 383). Następnie — tu moje zdziwienie jeszcze większe — trafnie wylicza siedem przyczyn, które uniemożliwiają dotarcie do „«obiektywnej», «faktycznej» rzeczywistości”, i zapytuje retorycznie, czy „te kłopoty

<sup>10</sup> R. Koselleck, *Semantyka historyczna*, Poznań 2012, s. 225.

<sup>11</sup> Por. D. A. Sikorski, *O źródle jako realistycznym alibi historyka, czyli o wyobrażeniach metodologa historii na temat roli źródeł w pracy historyków*, *St. Żr.* 51, 2013, s. 165–170.

przewycięży Sikorski, bo postąpi metodycznie”. Odpowiedź jest prosta. Ani krytycy Ginzburga, ani ja nie uważamy, że metoda krytyczna owe problemy przewycięży. Wręcz przeciwnie, w świetle panujących zasad krytyki są one właśnie nieprzewyciężalne przez dostępne nam metody badawcze. Gdyby Ginzburg postępował metodycznie, to by właśnie uświadomił sobie, że akta przesłuchań Menocchia nie pozwalają na zarysowanie poglądów jego bohatera w takim kształcie, w jakim je przedstawił w książce. To wszystko. Niechący zapewne wyszło na to, że Autor w tej ważnej kwestii jednak się z mną (i innymi krytykami obu książek) zgadza.

Przy okazji książki Ginzburga, podobnie jak w przypadku dzieła Le Roy Laduriego, W. Wrzosek sprawę referuje tak, jakbym jedynie ja sam krytykował obie prace (poza wydawcą źródła Andream Del Colem w przypadku Ginzburga). Udaje, że nie zauważa, iż mój tekst jedynie omawia stan krytyki nad obiema książkami (*nota bene* K. Polasik-Wrzosek wyrzuca mi, że do krytyki obu książek nic nie wnoszę). Dyskusje te przeczytałem, zarówno pochwały, jak i głosy krytyczne zweryfikowałem i wnioski przedstawiłem przy okazji recenzowania książki K. Polasik-Wrzosek, nie dodając ani jednego argumentu od siebie. Więc jeśli krytyka ta jest rzekomo obraźliwa dla „kolegów profesorów” W. Wrzosek, to „obrażani” byli od lat niemal czterdziestu przez pokaźne i międzynarodowe grono historyków. Jeden z „obrazoburców” (Matthias Benad) miał nawet czelność posunąć się do tego, że nie tylko poddał książkę Le Roy Laduriego totalnej krytyce, ale napisał nową monografię Montaillou na podstawie tego samego źródła, dobitnie przy tym demonstrując fatalne dla rekonstrukcji funkcjonowania społeczności Montaillou błędy popełnione przez Le Roy Laduriego. Jednakże autor *Montaillou* nigdy nie podjął polemiki ze swoimi krytykami i to przecież nie dlatego, że łamy czasopism naukowych były dla niego zamknięte. To był jego wybór i nie wnikać w motywy, chociaż mogę się ich domyślać. Natomiast C. Ginzburg taką polemikę podjął, a w jej rezultacie przyznał częściowo rację swoim krytykom.

Najnowsza edycja (2014) polskiego tłumaczenia książki Le Roy Laduriego opatrzona jest obszernym wstępem Ewy Domańskiej<sup>12</sup>. Autorka zadała sobie trud i zilustrowała na jednym przykładzie wspomniane przeze mnie manipulacje źródłami dokonywane przez Le Roy Laduriego<sup>13</sup>. Omówiła krytyczną dyskusję nad książką, a do wyliczonej przeze mnie krytycznej literatury dodała pozycje przeze mnie niezauważone i te, które ukazały się już po napisaniu recenzji. A wszystko to za wiedzą

<sup>12</sup> E. Le Roy Ladurie, *Montaillou, wioska heretyków 1294-1324*, wstęp E. Domańska, Poznań 2014 (oryg. franc. 1982).

<sup>13</sup> *Ibidem*, s. 6, przyp. 3.

Le Roy Laduriego, który zapoznał się z konspektem tekstu (wszystkie te elementy zostały w przesłanym mu konspekcie wstępu zaznaczone) i gdyby czuł się omawianiem krytyki jego książki obrażony, to by przecież zablokował dołączenie wstępu (ma takie prawo)<sup>14</sup>. Na kuriozum wygląda bronienie przez Autora C. Ginzburga, który w części przyznał rację krytykom. Skąd jednak Autor ma to wiedzieć, skoro z tą dyskusją się nie zapoznał? W. Wrzosek zapewne by z oburzeniem ripostował, na jakiej podstawie tak twierdzą — bo może „zna, ale nie cytuję”? Na tego rodzaju uniki odpowiedź jest prosta: nie zapoznał się, bo gdyby było inaczej, to nie napisałby tego, co napisał. Zatem „bohatera” obrona czci „kolegów profesorów” wybiega trochę przed nich samych i daleko poza zasady krytyki naukowej.

Autor zarzuca mi, że odmawiam (gdzie?) metodologii historii prawa do autonomicznej refleksji nad historią. Na potrzeby swego tekstu Autor doznał pewnej amnezji, która pozwala mu widzieć problem w sposób dychotomiczny (autonomiczna/nieautonomiczna), co jest błędne. Jerzy Topolski, zauważając, że zakres metodologii historii różnie się rozumie, próbował wprowadzić pewien porządek, proponując podział na trzy działy metodologii: pragmatyczną, apragmatyczną i przedmiotową metodologię historii<sup>15</sup>. Ta pierwsza ściśle wiąże się z badaniem i ocenianiem praktyk historiograficznych, także na poziomie źródłowym, kolejne oddalają się od tego. Ponieważ podstawową empirią dla K. Polasik-Wrzoska są dwa konkretne dzieła historiograficzne, które rozpatruje na tle ogólniejszych zjawisk w historiografii, zatem jej rozważania metodologiczne nie są wobec nich całkowicie autonomiczne. Gdyby skupiła się np. na analizie warstwy narracyjnej analizowanych książek, intencjonalnie pomijając odniesienie do dokumentacji źródłowej, a zarazem autorzy owych dzieł uważaliby również, że w ich książkach nie chodzi o dowiedzenie się czegoś o bohaterach swoich książek, ale o budowanie wyłącznie literackiej fantazji jedynie inspirowanej źródłami, to pytania o zgodność z dokumentacją źródłową byłyby bezzasadne<sup>16</sup>. To tak, jakby krytyk literacki pomstował na Henryka Sienkiewicza za odejście od wiedzy źródłowej w *Krzyżakach*. Ponieważ Ginzburg i Le Roy Ladurie traktują swoje książki jako dzieła historyczne odnoszące się do konkretnej rzeczywistości historycznej i są one jak najbardziej zakorzenione w podsta-

---

<sup>14</sup> Dziękuję Ewie Domańskiej za udostępnienie konspektu przesłanego wydawnictwu Gallimard.

<sup>15</sup> J. Topolski, *Metodologia historii*, Warszawa 1984, s. 29 nn.

<sup>16</sup> Podobnie bezsensowne byłoby wymaganie od W. Wrzoska, aby odnosił się do kwestii źródeł w swoim doktoracie o Fernandzie Braudelu (W. Wrzosek, *Koncepcja historii globalnej F. Braudela*, w: Z. Drozdowicz, J. Topolski, W. Wrzosek, *Swoistość poznania historycznego*, Poznań 1990, s. 136–214), gdyż dokładnie zakreślony w tej pracy program badawczy tego nie wymaga.



wie źródłowej (bogato swoje teksty ilustrują cytataми ze źródeł dla udokumentowania swoich opinii), to analiza metodologiczna nie może pomijać źródłowego aspektu owych książek. Zauważmy, że K. Polasik-Wrzosek nie ograniczyła się np. do analizy narracji w obu pracach jako osobnego problemu badawczego, ale traktuje je całościowo, zatem wszystkie aspekty owych prac podlegają ocenie metodologicznej i mają wpływ na ostateczny wniosek. Zauważmy, że Ginzburg, podejmując dyskusję ze swoimi krytykami, prowadzi ją na polu wytyczonym przez dobrze znane i respektowane także przez niego zasady krytyki źródeł. Nie twierdzi, że krytycy jego podejścia próbują przenieść dyskusję na inny, nieadekwatny poziom analizy, a tym samym nie rozumieją wagi jego dokonań „metodologicznych”.

Trafnie Autor identyfikuje sedno sporu. Jest nim to, że W. Wrzosek odrzuca jako jedno z zadań metodologa historii ustalanie, czy dana konkretna praca ma jakieś odniesienie do minionej rzeczywistości (s. 382). Zadanie to pozostawia — w przypadku dzieła Le Roy Laduriego — wyłącznie mediewistom. Popada jednak w sprzeczność, bo referowane przez mnie krytyczne opinie mediewistów o książce o Montaillou wywołują u niego gwałtowny sprzeciw jako metodologa, który wyartykułował, kierując zarzuty wobec mnie.

Postulat, aby metodologa nie interesowało, jak się ma analizowane dzieło do minionej rzeczywistości, a przynajmniej do podstawy źródłowej, oznaczałby kopernikański przewrót w historiografii *à rebours*. Na przykład badacze początków Polski, przekonani do tego poglądu, odtąd mogliby w sposób nieskrępowany ograniczeniami wynikającymi z obecnego stanu krytyki źródłowej pierwszych ksiąg *Roczników* Jana Długosza zupełnie na nowo napisać historię tego okresu. Zapisy Długoszowe dla tego okresu, objętościowo kilkukrotnie przerastające dotąd wykorzystywaną bazę źródłową, są treściowo i faktograficznie niewspółmiernie bogatsze. Jednak wskutek obecnych dociekań krytycznych niemal w ogóle nie są wykorzystywane przez historyków okresu wczesnopiastowskiego. Ich włączenie gruntownie przeorałoby dotychczasowe poglądy. Mogę być nawet bardziej dosadny: obecny dorobek historiografii w tym zakresie (w tym i mój) należałoby wyrzucić do kosza. Czy W. Wrzosek chce swoim postulatem dać do zrozumienia, że przy obecnym stanie krytyki nad pierwszymi księgami *Roczników*, gdyby pojawiła się praca mimo to wykorzystująca dzieło Długosza, to analiza metodologiczna powinna ten aspekt pomijać, zostawiając go wyłącznie mediewistom? Jeśli więc — wyobraźmy sobie — autor wyimaginowanego dzieła zastosowałby najbardziej wyszukane techniki interpretacji Długoszowych zapisów, wykorzystałby najbardziej nowoczesne i najbardziej popularne teorie (załóżmy, że wszystko to w jednym

dziele), to metodolog powinien analizować tylko te warstwy, bez wnika-  
nia, czy w ogóle pod względem źródłowym dzieło ma jakikolwiek sens?  
Skoro już raz napiąłem wyobraźnię czytelnika, to niech jeszcze wyobrazi  
sobie, że takie dzieło spotka się oczywiście z krytyką mediewistów. Jeśli  
owe wyszukane techniki interpretacyjne znajdą uznanie u metodologów  
ignorujących ich źródłowe umocowanie, to znaczyłoby, że Polska piastow-  
ska w wersji Długoszowej jest wizją bardziej nowoczesną, metodologicznie  
bardziej zaawansowaną od tej tradycyjnej, bez Długosza?

W wyżej drukowanej replice na tekst K. Polasik-Wrzosek wskazuję  
przyczyny, które stoją za chęcią odłączenia od metodologii (s. 850) tego  
aspektu analiz metodologicznych. Mogę tu dodać, że wspomniani przez  
Autora klasycy refleksji metodologicznej (s. 382, przyp. 5) byli do poło-  
wy XX w. wyłącznie czynnymi historykami. Swoje koncepcje teoretycz-  
ne realizowali przez własne prace historiograficzne, a swoje stanowisko  
wobec cudzych koncepcji wyrażali, analizując je wszechstronnie, także  
przy uwzględnieniu zasad krytyki źródłowej.

W. Wrzosek (podobnie jak Autorka książki) przez dwie strony wy-  
głasza tyradę wokół ponoć mojego żądania interpretacji dosłownej czy  
„dosłownego znaczenia tekstu historycznego” (s. 386–388). Pozwolę so-  
bie dla jasności argumentacji przytoczyć niemal cały akapit, z którego  
cytat pochodzi:

Antropolog historyczny jak każdy historyk musi — obojętnie jaki — tekst  
umieć po prostu przeczytać (w dosłownym znaczeniu) i zrozumieć go na  
poziomie filologicznym, a dopiero potem można tekst poddawać różnego  
rodzaju — jak to się ostatnio formułuje — strategiom interpretacyjnym.  
Zarzuty wobec materiału, na którym została zbudowana wizja społecz-  
stwa Montaignou, dotyczą — ze względu na liczne błędy translatorskie, jak  
i traktowanie wypowiedzi jako autentycznych zdań przesłuchiowanych —  
tego właśnie faktu: tekst, który faktycznie (!) stanowi podstawę dla Le Roy  
Laduriego, jest jego konstrukcją, a nie tekstem źródła (s. 503).

Jak widać, mój zarzut dotyczył tego, że Le Roy Ladurie nie przeczytał do-  
kładnie tekstu źródła, a nie tego, że nie dokonał dosłownej interpretacji.  
Do interpretacji się nie odnosiłem. Dodatek w nawiasie miał podkreślić,  
że rzeczywiście chodziło mi o najprostszą czynność, jaką jest dokładne  
przeczytanie źródła, gdyby czytający miał jakieś wątpliwości, czy właści-  
wie rozumie moje intencje. To wszystko.

Autor zarzuca mi jakieś insynuacje, które rzekomo „od czasu do czasu  
wysuwam pod adresem” jego seminarium (s. 389, przyp. 14). Celem mojej  
uwagi było wskazanie, że nawet w intelektualnie bliskim kręgu K. Polasik-  
-Wrzosek, jakim jest grono uczestników tego samego seminarium doktor-

skiego, istnieją rozbieżności co do tego, czym jest antropologia historyczna. Czy czytelnicy mają rozumieć, że zauważona przeze mnie rozbieżność (wspomniana tylko jeden raz) w definiowaniu antropologii historycznej między uczestnikami seminarium W. Wrzosa (Autor nie przeczy, że cytowane fragmenty o tym świadczą) jest insynuacją, ponieważ uczestnicy tego seminarium nie mogą mieć różnych zdań? Czy też ma to tylko zasugerować czytelnikowi, że w polemice odwołuję się do argumentów *ad personam*?

Triumfalnie W. Wrzosek ogłasza klęskę mojej logiki (s. 396–401), stwierdzając, że to, co krytycy Le Roy Laduriego mu wytykali („Autor *Montaillou* dokonał chronologicznej kompresji, tworząc obraz społeczeństwa zawieszony w czasie”, s. 503), ja w książce Modzelewskiego chwale. W moim tekście nie oceniam książki Modzelewskiego, jedynie wskazuję na zastosowanie w niej „metody porównawczej typowej dla antropologii” (s. 492). W rezultacie prowadzi to do wypracowania złudnego obrazu jednorodności długiej epoki. Zabieg ten, podobnie jak u krytyków Le Roy Laduriego, spotkał się z krytyką innych badaczy<sup>17</sup>. Sam w dyskusji z autorem *Barbarzyńskiej Europy* przy okazji prezentacji książki w Pałacu Działyńskich w Poznaniu (18 III 2010) podejmowałem wątki krytyczne. Karol Modzelewski, czytając teraz, że mój stosunek do jego książki to „przykład tandetnego lizusostwa” (s. 399), musi mocno wyteńczyć wyobraźnię: jak wyglądałaby polemika ze mną, gdybym się mu nie podlizywał<sup>18</sup>.

Przyznaję W. Wrzoscowi rację w jednej sprawie, że bez sprawdzenia — zapewne bezrefleksyjnie sugerując się ogólnymi narzekaniami Aarona Guriewicza na Rosyjską Akademię Nauk wielokrotnie pojawiającymi się w jego wspomnieniach — określiłem zbyt pochopnie audytorium wystąpienia A. Guriewicza jako składające się z „rosyjskich historyków, członków Akademii, w dużej masie tkwiących jeszcze pod względem metodologicznym w siermiężnym marksizmie” (s. 501, przyp. 48), co Autor słusznie oprotestował i zgadzam się z jego ostrą oceną, że jest to „ignoranczką konfabulacją”. Jednak dla problemu poruszanego w mojej recenzji pomyłka ta, choć z pewnością irytująca (także mnie), jest przecież — i chyba nie przemawia tu mój własny interes — kompletnie bez znaczenia. Autor poświęcił tej sprawie dwie i pół strony (czyli 10% całego tekstu), w tym solidne przypisy z obszerną literaturą dokumentującą mój błąd, jak i taką, która z nim nie ma nic wspólnego. Pokazuje to dobitnie, że w sytuacji, kiedy zarzuty

<sup>17</sup> P. Geary, *Europe al pluralis*, „L'Indice dei libri del mese”, t. 25, 2008, nr 11, s. 14; S. Gasparri, *L'eredità germanica e slava*, ibidem, s. 15; A. Brusa, *Radici sconvenienti*, ibidem, s. 15.

<sup>18</sup> O wydaniu niemieckim książki Modzelewskiego z 2011 r. nie mogłem wiedzieć, bo tekst wysłałem do „Kwartalnika Historycznego” w końcu 2010 r.; o tłumaczeniu litewskim sam autor mówił na wspomnianym spotkaniu, ale póki co język litewski nie otwiera drzwi światowej historiografii.

formułowane wobec mnie mają uzasadnienie w literaturze przedmiotu i faktach sprawdzalnych, to Autor nie szczędzi miejsca i obficie cytuje literaturę, aby stanowisko swoje uzasadnić. Zwracam uwagę, że jest to jedyny przykład w tekście Wrzoska, aby w ten sposób dokumentował swoje liczne zarzuty wobec mojego tekstu.

Na zakończenie nasuwa mi się następująca refleksja: sześćoarkuszo-wa książeczka, będąc obstawą przy tym, że kiepska, zaowocowała niemal ośmioma arkuszami tekstu polemik w jednym z najbardziej liczących się czasopism, a ich autorom przyniosła w sumie (jak dotąd) 74 punkty ewaluacyjne. Mogłoby to sugerować, że efektem tej działalności naukowej było poważne odkrycie w historii — liczba punktów jest równoważna prawie czterem monografiom! Czyż nie jest to dobra ilustracja absurdalności przyjętych kryteriów (bo nie samej konieczności) pomiarów aktywności naukowej?